

Myśliwi z czerwonymi gwiazdami nad polami Żabińca

Ktoregoś wieczoru zabrałem się do czytania *Plusa Minusa*, weekendowego dodatku do *Rzeczpospolitej*. Nie chciałbym w tym miejscu wyróżnić ktoregokolwiek z wielu moich ulubionych autorów, ale zrobię jeden, oko-



Moi rodzice w Alejach Ujazdowskich (połowa lat trzydziestych)

licznościowy wyjątek. Otóż szczególną atencją darzę od lat twórczość Jarosława Marka Rymkiewicza. Doceniam wrażliwość i podzielam wiele poglądów pana Jarosława na otaczający nas świat, zachodzące w nim procesy społeczne oraz na postawy życiowe naszych rodaków. Tymczasem już sam tytuł *Kukużuźnik między Gółkowem a Piasecznem* fragmentu nowej książki J. M. Rymkiewicza (*Kinderszenen*) oraz pierwsze przeczytane tam zdanie: „*Wczesną jesienią, kiedy kończyło się powstanie, mieszkaliśmy w Piasecznie*” wywołały u mnie coś w rodzaju déjà vue. Odstępstwo od istoty tego zjawiska polegało na tym, że mogłem od razu określić główne parametry opisywanych wydarzeń. Ten sam czas, to samo miejsce i co najważniejsze – ten

sowiecki kukużuźnik* polujący niedaleko Piaseczna na dziewięcioletniego wówczas Jarka i jego tatę! W mojej pamięci zaczęła się przesuwac taśma filmowa z obrazem i dźwiękiem, zarejestrowana w latach czterdziestych ubiegłego (już!) wieku. Pomyślałem, że podejmę się próby przetworzenia pewnej części tego filmu w słowo pisane.

* *Kukużuźnik* – Popularna nazwa sowieckiego, dwupłatowego samolotu Po-2 (U-2) wykorzystywanego do celów szkoleniowych, sanitarnych, agrotechnicznych i wielu innych zadań, szczególnie bojowych, jako lekki samolot szturmowy oraz nocny bombowiec (II wojna światowa). Uzbrojenie: karabin maszynowy SzKAS lub Diegtiariowa kal. 7,62 mm oraz maks. 6 bomb po 50 kg. Załoga: pilot i obserwator, który spełniał także zadania strzelca i bombardiera. Prędkość maks. około 150 km/godz., zasięg 400 km. Różne wersje. Znany i używany także w Polsce w latach powojennych.

Aby lepiej zobrazować tło moich przeżyć w okresie wczesnej jesieni 1944 roku powinienem jednak cofnąć swoje wspomnienia do roku 1939 i do napaści Niemców na Polskę.



Z Jasią na Chłodnej (1939)

We wrześniu 1939 roku miałem niewiele ponad trzy lata z połówką (urodziłem się 1 stycznia 1936 roku w Warszawie), a więc z czasu wojny i niemieckiej okupacji utkwiły mi w pamięci obrazy rejestrowane oczami dziecka. Mieszkaliśmy w charakterystycznej, czteropiętrowej kamienicy o numerze 16 przy ulicy Chłodnej, która niestety nie przetrwała wojny. Na parterze był zakład fotograficzny, a niedaleko nowoczesny salon obuwniczy (chyba czeskiej firmy BATA), dwa duże kina, cukiernie, warsztaty i różne sklepy, wśród nich filie Wedla i Fuchsa z czekoladowymi wspaniałościami. Na wprost naszej, północnej pierzei ulicznej pysznił się okazały kościół św. Karola Boromeusza, w którym byłem ochrzczony. Duże wrażenie robiły na

mnie naturalnej wielkości figury świętych, umieszczone w jego zewnętrznych wnękach ściennych. Za kościołem intrygowały mnie garaże dla pojazdów straży pożarnej i wieża obserwacyjna, a jeszcze dalej ogromne (jak dla mnie!) Hale Mirowskie. Znaczenie Chłodnej, jako reprezentacyjnej, dzielnicowej promenady z podwójnym szpalerem drzew, łączącej Wolę ze Śródmieściem, dostrzegały słowa Feliksa Konarskiego w popularnej piosence:

*„Dziś panna Andzia ma wychodne,
dzisiaj sama – wielka dama,
Dziś ma jak pani piórko modne,
bo dziś na Chłodnej wielki bal...”*

Były to trasy moich częstych spacerów z gospożą Jasią, a w niedziele – z rodzicami, którzy w dni powszednie zajmowali się pracą zawodową. Wieczorami rodzice rozmawiali o Niemcach, Gdańsku i o wojnie. Padają też nazwiska marszałków Piłsudskiego i Śmigłego-Rydza. Wreszcie,

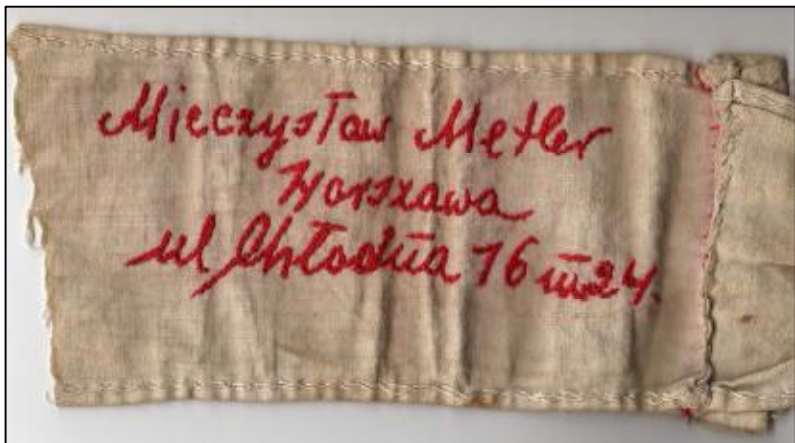


Niedzielny spacer na Chłodnej (1939). Z lewej strony tata. Z prawej mama i kuzyn (Stanisław Ostrowski)

wszystkie okna w naszym mieszkaniu zostały oklejone wzdłuż, wszerz i na krzyż brązową taśmą, która miała zapobiegać poranieniu odłamkami szkła. Zaczęły się też gorączkowe zakupy produktów spożywczych i szykowanie zapasów w postaci dziesiątków słoików napelnianych różnymi przetworami.

Pierwszego września Niemcy napadli na Polskę i nastąpiły naloty wrogich samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Co kilka godzin wyły syreny alarmowe, a radio nadawało dziwne komunikaty: „*Uwaga, uwaga nadchodzi. Koma trzy*”. Na Warszawę i na nas leciały wszystkie rodzaje bomb: odłamkowe, zapalające (z fosforem) i burzące. Często kryliśmy się w piwnicach naszego domu, oczekując na skuteczne akcje naszych lotników oraz na obiecaną pomoc Anglii i Francji. Pamiętam kilka bardzo późnych powrotów mojej mamy z pracy w Państwowych Zakładach Lotniczych na Okęciu-Paluchu i opowieści o jej biegach pomiędzy budynkami zjadle bombardowanej wytwórni płatowców. Już pierwszego września samoloty Luftwaffe trzykrotnie obrzuciły bombami odłamkowymi teren zakładów, usiłując tylko zdeorganizować ich działalność, aby w przyszłości, po zajęciu Warszawy, móc szybko wznowić tu produkcję. Spodziewaliśmy się użycia przez Niemców gazów trujących. Pamiętam miękką maskę przeciwigazową, w kolorze żółtym, przeznaczoną dla dzieci, z której byłem bardzo dumny oraz dużą oliwkową, którą mama zawieszała wieczorem koło drzwi w przedpokoju wraz ze służbowym, stalowym hełmem.

Na lewej nóżce nosiłem zszytą, lnianą opaskę z wyhaftowanymi przez mamę informacjami: moim imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia i adresem. Zgodnie z zarządzeniem władz miała ona umożliwić identyfikację dziecka zagubionego w zawierusze wojennej, co często wizualizowało się w mojej wyobraźni i czego się bardzo obawiałem.



Opaska identyfikacyjna warszawskiego dziecka w sierpniu 1939 r.

Podczas jednego z nalotów, do naszej spizarki z „wojennymi zapasami” wleciał przez okno odłamek bomby. Przez mgłę pamięci widzę potłuczone słoje, produkty spożywcze przemieszane ze szkłem oraz kawałki śledzi przyklejone do ścian z kolorowymi plamami soków, konfitur i sałatek warzywnych. Pamiętam rozpacz mamy i cioci na ten widok oraz nieefektywne próby ratowania żywności zanieczyszczonej okruchami szkła. Później przyszedł lęk o tatę, który na kontrowersyjny do dziś, rozkaz płk. Umiańskiego opuścił wraz z tysiącami mężczyzn Warszawę i nie było od niego żadnej wiadomości. Na skwerach przy kościele św. Karola Boromeusza były prowizoryczne, z drewnianymi krzyżami, mogiły warszawiaków poległych od niemieckich bomb. Leżały też zabite, okaleczone konie. Jeszcze później przyszedł głód. Przed oczami mam widok mamy, cioci Frani i Jasi usiłujących znęcić gołębia kruszynkami chleba i schwytać go za pomocą sznurka umocowanego do lufcika. Bezskutecznie – gołąb ocalał. Poza tym, jestem przekonany, że żadna z trzech pań nie byłaby zdolna odebrać mu życia. Pamiętam wędrówkę z Chłodnej do cioci na ulicę 6 Sierpnia (obecnie Nowowiejską) oraz palące się domy i ruiny wzdłuż Marszałkowskiej, a potem wejście Niemców do naszego miasta i szczęśliwy powrót ta-

ty ze Wschodu. Kilka dni później miało miejsce w mieszkaniu cioci pożegnanie jej syna, zmobilizowanego porucznika rezerwy Józefa Ostrowskiego. Józio został wzięty przez Niemców do niewoli i zwolniony na oficerskie „słowo honoru” dla umożliwienia przed wyjazdem do obozu krótkiego spotkania z rodziną. Zdania na temat dotrzymania słowa danego Niemcom



Tata w Wilnie (przed wojną)

były wśród obecnych członków naszej rodziny podzielone, ale polski honor oficerski przeważał. Moja mama dała Józkowi na szczęście swój sygnet z herbem Ślepowron, a ja miałem podobno wypowiedzieć, zapamiętane w mojej rodzinie, słowa: „Idź Józiu z Bogiem!”. Honorowy bohater opisywanego wydarzenia przeżył wojnę w kolejnych obozach oficerskich w Murnau i Woldenbergu, a po powrocie do kraju osiadł w Szczecinie. Ale wtedy, po smutnym spotkaniu u cioci, zaczęła się okupacja i okrutny terror. Przybyły nowe zagrożenia. Warszawa stała się miejscem łapanek i rozstrzeliwania jej mieszkańców. Rozpoczęła się kolejna, codzienna walka o przeżycie.

W 1941 roku, w związku z rozszerzaniem przez Niemców getta dla ludności żydowskiej, zostaliśmy wysiedleni z mieszkania przy ulicy Chłodnej.



W ramionach mamy i kuzynki (Hala Zwolińska) w mieszkaniu na Chłodnej 16 (1940?)

Po skomplikowanych staraniach udało się tacie wynająć mieszkanie na trzecim piętrze w ogromnej, secesyjnej kamienicy przy ulicy Siennej nr 45, która pomimo wielu wojennych burz przetrwała do dziś. Zachowały się, pamiętne z mojego dzieciństwa i lat młodości, piękne kafelki z żagłowcami, którymi zostały wyłożone ściany prześwitu bramy. Przetrwała również uroczą, tradycyjną kapliczką z białoniebieską figurką Matki Boskiej w pierwszym podwórku. We wrześniu 1941 rozpoczęła się moja, bardzo wczesna ze względu na okoliczności, edukacja na tajnych kompletach szkolnych. Zajęcia te były prowadzone, z narażeniem życia, przez wspaniałą kobietę, wielką patriotkę i znakomitego pedagoga panią Wandę Foltańską w Jej mieszkaniu w eklektycznej kamienicy

na ulicy Złotej przy Sosnowej. Ogromnie żałuję, że meandry życia rodzinnego i zawodowego nie pozwoliły mi na poznanie dalszych losów pani Wandy i wyrażenia Jej mojej wdzięczności. Pozostał mi w pamięci duży salon zamieniony na salę szkolną dla kilku rotacyjnie działających klas. Wchodziliśmy tam przez pokój, w którym bawiły się maluchy z legalnie istniejącego przedszkola i przez drzwi zamaskowane wielką szafą. Po lekcjach, które cechował specyficzny, niepodległościowy klimat, wychodziliśmy na Złotą w pojedynkę, aby nie zwrócić uwagi patroli niemieckich i zwykłych szpicli.

Życie naszej, niewielkiej rodziny w okupowanej Warszawie było bardzo trudne, podobnie jak wszystkich jej mieszkańców. Tata, przedwojenny oficer rezerwy próbował wszystkiego, co się tylko dało, aby zdobyć jakieś środki na skromne utrzymanie. Wiem, że miał związki z branżą materiałów piśmiennych i biurowych. Jednak najlepiej zapamiętałem produkcję baterii o nazwie „VOLTA” do latarek elektrycznych, która odbywała się w części kuchennej naszego mieszkania. Było to dla mnie jakieś tajemnicze misterium, najczęściej przy świetle lamp karbidowych z powodu stałych wyłączeń

czeń prądu. Po procesie łączenia różnych półproduktów, podgrzewaniu na kuchni węglowej metalowych kubeczków napełnionych elektrolitem i tzw. lalczkami (elektrodami brausztynowymi, z których wystawały pręciki grafitowe), a następnie po ich ostygnięciu, odbywały się czynności końcowe, w których miałem swój istotny udział. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy tata pozwoli mi nabijać mosiężne kapselki na końcówki pręcików oraz uzyskiwać piękny, złoty połysk za pomocą specjalnej, metalowej szczotki. W podobny sposób polerowaliśmy denka tulejkowatych kubeczków. Były jeszcze parafinowe uszczelnienia oraz kontrola jakości. Zawsze fascynował mnie ostateczny efekt, którym było zapalenie się żaróweczki próbnika przyłożonego z dwóch stron do naszego wyrobu. Wiązałem to zjawisko z uwolnieniem, dzięki naszej pomocy, jakiś tajemniczych sił. Ko-



Tata (Romuald Metler) w mundurze oficerskim

niec całego cyklu wieńczony był oklejaniem baterii etykietami „VOLTA” i pakowaniem ich do tekturowych pudełek. Oczywiście, latarka elektryczna z nowymi bateriami, była przez długi czas moją ulubioną zabawką, a w okupacyjnych mrokach wszystkie produkty wytwarzające światło cieszyły się ogromnym powodzeniem. Nasza „chałupnicza” produkcja przerywana była, co jakiś czas, wieczornym wyciem syren ostrzegającym przed nalotami lotniczymi. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku samoloty z czerwonymi gwiazdami coraz częściej bombardowały Warszawę, a znaczny rozrzut bomb zrzuconych z dużej wysokości powodował wiele ofiar wśród mieszkańców miasta. Zbiegaliśmy wtedy z trzeciego piętra na dół i kryliśmy się w piwnicach, podobnie jak na Chłodnej. Czasami

kończyło się to bez odgłosów nalotu, a czasami liczyliśmy wybuchy bomb i ocenialiśmy ich odległość. W korytarzach piwnicznych, pomimo zagrożenia życia, panowała towarzyska, a nawet wręcz rodzinna atmosfera. Pamiętam profesora Uniwersytetu Warszawskiego pana Wawrzyniaka z żoną i córkami, krawca Zarembe z żoną i synem, małżeństwo aptekarzy z Łęczycy pp. Perlińskich z synem Januszem i kilka innych osób. Losy wojenne wrzuciły do naszej kamienicy warszawiaków o rozmaitych profesjach i pozycjach społecznych. Mówiło się też (szepem!) o miejscowych dziewczynach lekkich obyczajów, a nawet o włamywaczach, którzy jednak nigdy nie „buszowali” w naszej dzielnicy, bo im honor na to nie pozwalał. Głównym tematem rozmów była oczywiście wojna, ale także osobiste przeżycia oraz sposoby przetrwania niemieckiej okupacji. Można mówić o pełnej integracji mieszkańców naszego domu. Ludzie w piwnicach częstowali się różnymi, z trudem zdobywanymi, wiktuałami i czymś mocniejszym, a po odwołaniu nalotu odmawiali litanię przed kapliczką Matki Boskiej na wewnętrznym podwórku. Pewnego wieczoru bomby trafiły w kamienicę na Siennej, po drugiej stronie ulicy, na wprost naszego domu. Pamiętam, że tata wraz z innymi mężczyznami gasił szalejący tam pożar i próbował w nocnych ciemnościach odkopywać zasypanych ludzi. Mówiono później o śmiertelnych ofiarach.

Temat sowieckich bombardowań został po wojnie głęboko ukryty, a obecnie też nie jest powszechnie znany. Dopiero po latach przeczytałem w „*Polsce Zbrojnej*” interesujący artykuł Norberta Bączyka. Okazało się, że od sowieckich bomb zginęło w czasie niemieckiej okupacji w Warszawie, co najmniej 800 mieszkańców, a blisko trzy tysiące zostało rannych. Zniszczonych zostało ponad 300 (!) budynków w różnych dzielnicach miasta, głównie w Śródmieściu (Marszałkowska, Srebrna, Miedziana) i na Woli, ale także na Pradze, Ochocie, Żoliborzu i Służewcu.

Mama podejmowała pracę kelnerki w różnych kawiarniach. Poza tym, w zależności od możliwości zdobycia potrzebnych produktów, dostarczała tam do sprzedaży własne wypieki. Były to z reguły marchewkowe i fasolowe torty wyrabiane wieczorami przez damski zespół w składzie: mama, ciocia Frania i Jasia. Mój udział w tym przedsięwzięciu ograniczał się do konsumpcji „podpłomyków” wypieczonych z resztek ciasta, ale z powodu wojennych trudności aprowizacyjnych, przyjemność ta spotykała mnie niezmiernie rzadko. Produkty żywnościowe były sprzedawane na kartki i racjonowane w minimalnych ilościach, a ich ceny na tzw. „czarnym rynku” były niebotycznie wysokie. Warszawiacy próbowali zaopatrywać się

w żywność w mazowieckich miasteczkach i wsiach, gdzie rolnicy przechytrali kontyngentowe zarządzenia okupanta. Wraz z rodzicami pojechaliśmy kilka razy, pociągiem, chyba do Siedlec i Skierniewic, w celu nielegalnych zakupów. W dziecięcej torbie śniadaniowej przywoziłem do domu osełki masła owinięte liśćmi chrzanu i klinki białego sera. Rodzice kryli mąkę i jakieś produkty mięsne, a na dworcach i w pociągu drżeliśmy przed częstymi kontrolami niemieckich żandarmów i kolejowej policji (tzw. *bahnschutzów*). Przypomniały mi się, dla kontrastu, prowokacyjnie jasno oświetlone sklepy Juliusa Meinla, z luksusowymi artykułami spożywczymi, dostępnymi tylko dla Niemców (Nür für Deutsche).

Oboje rodzice byli zaangażowani w pracę konspiracyjną, a nasze mieszkanie na Siennej stanowiło tak zwaną skrzynkę kontaktową. Główną postacią z tego kręgu był siostrzeniec mojej mamy, najmłodszy z trzech synów cioci Frani, absolwent konspiracyjnej podchorążówki „Agrykola”, poeta, por. Stanisław Ostrowski (ps. Bogdan). Poszukiwany w całej Warszawie przez Niemców zmieniał często miejsca pobytu i ukrywał się jakiś czas również w naszym mieszkaniu. Wykorzystywałem zdolności artystyczne Staszka i zamęczałem go prośbami o rysunki polskich rycerzy i ich herbów oraz recytacje jego wierszy. Muszę wyjaśnić, że jakkolwiek dzieliła nas różnica prawie 20 lat to byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Po latach dowiedziałem się, że w tym czasie Staszek sprawował funkcję kierownika referatu polowego w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, a podczas Powstania Warszawskiego był oficerem łącznikowym tej Komendy.

W miarę upływu lat okupacji docierało do mnie coraz więcej z otaczających nas wydarzeń, tym bardziej, że rodzicom nie zawsze udawało się ukryć przede mną niektóre rozmowy lub działania. Do takich tajemniczych czynności zaliczałem przekazywanie paczek żywnościowych nieznanemu mi, szczupłemu mężczyźnie o bladej cerze i czarnych włosach, który przebywał w lokalu vis a vis naszego mieszkania. Człowiek ten nigdy nie wychodził z domu i otwierał jakieś dziwne okienko w drzwiach wejściowych dopiero po umówionym sygnale. Niestety, nie zachowała się książka *FAJ-DROS* Platona, którą mama otrzymała od owego sąsiada w podzięcie za pomoc. Zapamiętałem tylko początek i koniec długiej dedykacji, wpisanej w niej pięknym, kaligraficznym pismem: „Wielce Szanownej Pani Stanisławie Metlerowej... w dowód niewypowiedzianych uczuć Jej szlachetności” i jakiś podpis. Autor dedykacji był Żydem. Nie wiem jak się nazywał i co się z nim później stało.

Pewnego dnia na klatce schodowej, już na parterze, wyminęli mnie i mamę dwaj cywile w skórzanych płaszczach i tyrolskich kapeluszach, zgodnie z modą w gestapo. Oni w górę, a my w dół do wyjścia na ulicę. Sąsiedzi poinformowali po powrocie, że przez jakiś czas przebywali na naszym piętrze. Mama wykonała całą serię tajemniczych telefonów, potem zaczęła wyjmować jakieś papiery i gazetki z sobie wiadomych miejsc i skrytek w kilku stołkach, a na końcu porąbała siekierką te stołki kalecząc sobie dotkliwie rękę. Drewno i papiery spaliła w kuchni i w piecu. Była piękna wiosna i było nam bardzo gorąco, dosłownie i w przenośni. Rodzice rozmawiali o jakiejś wpadce w otoczeniu Stacha. Koleżanka konspiracyjna i zarazem sympatia Staszka, Hanka Strońska, została wraz ze swoją matką aresztowana przez gestapo i po okrutnych przesłuchaniach i torturach na Szucha wywieziona do obozu w Oświęcimiu. Niemcy wybili jej prawie wszystkie zęby – nie wydała nikogo. Wojnę przeżyła.



Lato 1939 r. w Radości

Kilka słów o letnich wyjazdach z terroryzowanego przez Niemców miasta. Ulubionym miejscem wakacyjnego wypoczynku moich rodziców były przed wojną Józefów i Radość na linii otwockiej. Stamtąd też pochodzą moje pierwsze fotografie. W czasie wojny rodzice postanowili znaleźć coś bliżej i po zachodniej stronie Wisły. Być może już wtedy decydowały względy strategiczne i ekonomiczne (łatwy dostęp do runa leśnego). Wybór padł na mieszkanie w starym, drewnianym, jednopiętrowym domu z werandami w Chojnowie-Pilawie. Obiekt ten był położony na skraju lasów chojnowskich, kilkanaście minut spacerem wśród pięknych pól od przystanku kolejki wąskotorowej linii Warszawa-Piaseczno-Góra Kalwaria i stanowił

własność pana Krzeckiego. Po zakończeniu roku szkolnego u pani Foltańskiej wynajęta furmanka zabierała z Siennej do Chojnowa bety, garnki, ubrania i wszystko, co mogło być potrzebne w czasie dwumiesięcznych

wakacji. Konik człapał prawie przez cały dzień, ale samochodowy transport nie był wtedy dostępny. Nie pamiętam, w którym roku – w 1942, czy może w 1943? – rozpoczęła się moja, letnia znajomość z Chojnowem. Nasz gospodarz, krzepki, siedemdziesięcioletni rolnik okazał się bardzo troskliwym i uczynnym sąsiadem. W naszym przewiewnym „drewniaku” były okazałe strychy z mnóstwem zakurzonych kufrów, książek, rycin, staroświeckich mebli i różnych szpargałów – cel i miejsce moich licznych wypraw (pochodziła stamtąd wspiana książka *Książę Józef Poniatowski* Szymona Aszkenazego). Okolica była bardzo ładna, a do lasach chojnowskich przyciągało ogromne bogactwo grzybów, malin, jagód i orzechów laskowych. Niezbyt daleko od nas, w kierunku Piaseczna, płynęła sobie rzeczka Jezioraka. Okoliczni gospodarze sprzedawali nam w zaufaniu różne produkty spożywcze. Były one z reguły efektem przechytrzenia norm kontyngentowych okupanta. Szczególnie miłe kontakty rodzice nawiązali z znaną rodziną Czapskich, w której siódmego syna, zgodnie z przyjętym zwyczajem, trzymał do chrztu sam prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. Mieszkaliśmy w Chojnowie razem z mamą, a na zmęczonego tatę, który dojeżdżał do nas późnym popołudniem ciuchcią z Warszawy, wyczekiwaliśmy, co parę dni na przystanku z tablicą Chojnów-Pilawa (nigdy nie dowiedziałem się gdzie przebiegała granica pomiędzy tymi miejscowościami i czy tak naprawdę mieszkaliśmy w Chojnowie, czy w Pilawie?). Dość często dochodziły do nas niepotwierdzone wieści o pobliskim sąsiedztwie partyzantów oraz o ich atakach na niemieckie samochody i placówki.

Przyszedł rok 1944, a wraz z nim wiele wydarzeń w okupowanej Polsce i Europie. Warszawiacy cieszyli się z niepowodzeń Niemców na frontach wschodnim i zachodnim. W styczniu armia czerwona wkroczyła na dawne ziemie polskie w rejonie Sarn. Na Wołyniu i Wileńszczyźnie Armia Krajowa rozpoczyna akcję Burza. W brawurowo przeprowadzonym zamachu przez harcerski oddział szturmowy ginie w lutym kat Warszawy Franz Kutschera, dowódca SS i policji niemieckiej. W maju alianci wraz z wojskami polskiego II Korpusu zdobywają Monte Cassino, a na początku czerwca wkraczają do Rzymu. W tym samym czasie udany desant wojsk sprzymierzonych na Normandię rozpoczyna potężną operację wyzwolenia Zachodniej Europy. O wszystkich wydarzeniach informowała prasa podziemna, a o wielu z nich rozmawiało się w naszym domu. Pomimo stale pogarszających się warunków życia rośnie optymizm warszawiaków oraz przekonanie, że ostateczna klęska Niemców jest już tylko kwestią czasu. W ścisłych rozmowach coraz częściej mówi się o przygotowaniach do powstania

i gotowości do walki warszawskiej młodzieży ze wszystkich, podziemnych organizacji. Narastała atmosfera dużego napięcia i oczekiwanie powszechnego zrywu wolnościowego. Z całą pewnością, w podobnym nastroju rodzice wynajmowali kolejny raz mieszkanie u pana Krzeckiego i pod koniec czerwca znaleźliśmy się znów w przyjaznym nam, do tej pory, Chojnowie (a może Pilawie?).



*Lato w Chojnowie (1944?).
Przed „drewniakiem” pana
Krzeckiego z rogatym kolegą*

Na samym początku wakacji zachorowałem na odrę i leżałem w łóżku z wysoką gorączką, upstrzony czerwonymi plamkami. Pewnego popołudnia mama dostała nagłego krwotoku i upadła na poduszki. Wybiegłem przerażony z domu wzywając pomocy. Sąsiad wsiadł na rower i sprowadził lekarza aż spod Piaseczna. Sympatyczny pan doktor stwierdził perforację wrzodu żołądka, wstrzyknął mamie kilka ogromnych ampuł soli fizjologicznej i zorganizował transport do Szpitala Ujazdowskiego. Opiekę nad mną przejęła Helenka, siostra Jasi, która specjalnie przyjechała z Warszawy. Po niedługim czasie sytuacja uległa poprawie. Mama wróciła ze szpitala, jadła kleiki z siemienia lnianego i była bardzo słaba. Ja starałem się nadrobić stracony czas uganiając się z rówieśnikami i szalejąc na rowerze (dwukołowym!), prezencie od rodziców, który zastąpił popularną wówczas, wysłużoną hulajnogę. Lipcowe dni urozmaicały mi niespodziewane spotkania na ścieżkach leśnych z partyzanckimi patrolami. Przeważnie dwuosobowymi, pieszymi lub konnymi. Byłem zafascynowany polskimi mundurami, srebrnymi orzełkami i naszywkami w barwach biało-czerwonych, a przede wszystkim uzbrojeniem: pistoletami maszynowymi, rewolwerami bębnowymi i granatami przy pasach. Pewnego dnia tuż przy ścieżce w lesie zobaczyłem zabitego podoficera niemieckiego. Obok niego leżał granat zwany pałkowym. Od czasu do czasu znajdowałem też pojedyncze naboje, które oddawałem leśnym patrolom. Z Warszawy dochodziły informacje o wycofywaniu się oddziałów niemieckich w kierunku zachodnim, o transportach rannych żołnierzy oraz o przygotowywaniu się licznych instytucji niemieckich do ewakuacji.

Chyba pierwszego sierpnia późnym wieczorem wrócił z Warszawy mój tata i powiedział nam o wybuchu powstania. Od razu powstał problem, czy starać się wrócić na Sienną i w jaki sposób, ale parę następnych dni rozwiązało dylemat, ponieważ okazało się to niemożliwe. W podobnej sytuacji znalazło się kilka innych, warszawskich rodzin, przebywających na lotnisku w sąsiednich domach. W naszej chojnowsko-pilawskiej społeczności zapanowały niesamowicie patriotyczne nastroje i ogromny entuzjazm. Uważano, że dni Niemców są już policzone, a ostrze uwagi i bezustannych dyskusji zaczęło się skupiać na potędze armii czerwonej, której czołowe oddziały znajdowały się już po drugiej stronie Wisły. Świadczyły też o tym sowieckie patrole lotnicze nadlatujące zza Wisły na naszą stronę. Mając w pamięci bombardowania swojego miasta warszawiaczy i tutejsi, stali mieszkańcy postanowili, na wszelki wypadek, wybudować tu schron przeciwlotniczy. Na skraju młodego lasu sosnowego wykopali dość głęboki rów i umocnili go drewnianymi balami. Było to ulubione miejsce moich zabaw z rówieśnikami, ale byliśmy też kilkakrotnie skarzeni za osypywanie piaszczystych ścian.

Tata nie chciał pozostawać bezczynny wobec zachodzących, jego zdaniem – historycznych wydarzeń, Bardzo szybko nawiązał kontakt z dowództwem leśnego oddziału AK por. „Lancy”, który w ramach akcji Burza przedostał się w pobliże Warszawy aż z lasów biłgorajskich. Za kilka dni zobaczyłem tatę w granatowym berecie z orzełkiem, z angielskim stenem na ramieniu, z polskim visem za pasem przymocowanym białą linką spadochronową oraz z biało-czerwoną opaską. Tata kwaterował z oddziałem „Lancy” w zabudowaniach gajówki Nowinki w rejonie Zalesia, tylko kilka kilometrów od Chojnowa. Przyniósł nam jakieś wiktuały, a mama dostała w prezencie okazały kawał jedwabiu na bluzkę w kształcie klina z prawdziwego, angielskiego spadochronu. W podzięcie wyhaftowała na berecie taty białą włóczką gwiazdki porucznika. Żołnierze „Lancy” byli znakomicie uzbrojeni i wyposażeni, m.in. w dwie połowe radiostacje. Duża część sprzętu i wyposażenia pochodziła z przyjmowanych przez nich zrzutów lotniczych. W terenie leśnym skutecznie blokowali szosę Piaseczno-Góra Kalwaria, prowadzącą dalej w ważnym kierunku Kozienic, Warki i Radomia. Trasą tą Niemcy dostarczali amunicję i zaopatrzenie dla oddziałów frontowych nad Pilicą. Konny patrol „Lancy” aresztował też właściciela sklepu znajdującego się w pobliżu stacji kolejowej Chojnów, a śledztwo wykazało, że był niemieckim konfidentem. Nie dowiedziałem się, co się z nim stało.

Jeszcze wcześniej, wielkim nieszczęściem była dla mnie konieczność pilnej sprzedaży roweru. Miał go kupić miejscowy leśniczy dla syna, niezbyt lubianego przeze mnie i moich kolegów, opasłego chłopaka, który w moich oczach przekształcił się teraz w prawdziwego potwora. W zaistniałej sytuacji tata starał się możliwie najlepiej zabezpieczyć mamie nawet najskromniejsze środki do życia. Rodzice użyli wielu argumentów, aby złagodzić moje cierpienia. Przeważały argumenty patriotyczne, że „tata walczy z Niemcami” i materialne, że „po wojnie dostanę jeszcze lepszy i piękniejszy”. W końcu uległem i wraz z rodzicami udaliśmy się do leśniczówki na drugą stronę torów kolejowych dla przeprowadzenia tej smutnej transakcji. Na widok potwora głaszczącego kierownicę mojego roweru – nie wytrzymałem. Wskoczyłem na siodelko i uciekłem ścieżkami w głąb lasu. Tam przyszło opamiętanie. Wróciłem do leśniczówki, oddałem swój skarb potworowi, a zaniepokojonym rodzicom powiedziałem coś w rodzaju „To dla Polski!”.

W sierpniową niedzielę porucznik „Lanca” zaprosił okolicznych mieszkańców oraz rodziny członków swojego oddziału, którzy podobnie jak mój tata dołączyli do niego w ostatnim czasie, na uroczystą mszę polową w pobliżu miejsca swojego kwaterowania. Było to związane ze świętem Wniebowstąpienia NMP, rocznicą zwycięstwa w bitwie warszawskiej w 1920 roku oraz z planowanym wymarszem oddziałów z lasów chojnowskich na pomoc Warszawie. Wydzielony został specjalny teren dla gości na ceremonię, skromny poczęstunek z przyniesionych z sobą wiktuałów i spotkania rodzinno-koleżeńskie. Jeśli dobrze pamiętam, to były tam nawet prowizoryczne ławki, daszki chroniące przed słońcem i symboliczne barierki. Po uroczystej i wzruszającej, z uwagi na nastrój pożegnania oraz scenerię, mszy świętej, mama z Helenką zostały w cieniu drzew z przyjaciółmi z Warszawy, a tata zaprowadził mnie do kwatery Lancy w gajówce. Odbył się tam mój popis recytatorski. Ubrany byłem w mundurek harcerski (niezidentyfikowanego do dziś pochodzenia) z zawiązaną, huculską krajką. Z patriotycznym zapalem i przejęciem wypowiedziałem, w niesamowitej wprost atmosferze, dwa wiersze napisane przez wspomnianego wcześniej, naszego kuzyna, Stanisława Ostrowskiego. Do dziś zapamiętałem fragment jednego z tych utworów, zamieszczonych w konspiracyjnie wydanym tomiku jego poezji pt. „Laurowo i ciemno”:

*... jak pod Kockiem, Warszawą, Westerplatte, Kutnem
niech nie z słów, lecz z krwi naszej wzrastają wawrzyny!*

*Czas rośnie, czas dojrzeć, teraz wejdź do bramy,
ukryty w czterech ścianach trudź się dla Wolności,
usiądź przy radiostacji, przyjmij wiadomości...
jutro je z biuletynów tajnych odczytamy.
I powiedz im... Nic nie mów!
Łez nie zmieścisz w zdaniach!
Grozy zbrodni obłądnych nie zamkniesz w meldunku!
Po prostu krzyknij w mikrofon: Ratunku!
Pospieszcie się! Czekamy na znak do Powstania!*

Słuchaczami mojego popisu byli sztabowi oficerowie oddziału, a wśród nich jego dowódca – por. „Lanca” (Bolesław Ostrowski) oraz mój tata – por. „Hala” (Romuald Metler). Wielu z nich w mundurach z 1939 roku. W nagrodę otrzymałem od samego Lancy honorowy stopień najmłodszego żołnierza w jego oddziale, harcerską finkę oraz pozwolenie wspólnego wysłuchania komunikatu radia BBC z Londynu w języku polskim odbieranego przez połowę radiostację. Chciałbym tu poinformować, że popularny sygnał „BUM, BUM, BUM, BUUUM...” usłyszałem ponownie w latach powojennych wśród trzasków i zgrzytów emitowanych na falach BBC przez reżimowe stacje zagłuszające. Z uchem przyklejonym do głośnika lampowego radioodbiornika marki Saba tata starał się wieczorami wyłapać na krótkich falach zanikający głos spikerów z „wolnego świata” i wysłuchać wiadomości „...dobrych, czy złych, ale zawsze prawdziwych – takich, jakie nadaje tylko wolne radio” (z anonsu do audycji). Jeszcze później dowiedziałem się, że sygnał radia BBC wzorowany był na literze V w alfabecie Morse’a i wtajemniczonym symbolizował zwycięstwo.

W sierpniu 1944 lasy chojnowskie stały się przyjaznym siedliskiem bardzo silnego zgrupowania różnych oddziałów Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. Organizacja zaopatrzenia, koordynacja działań, leczenie rannych, patrolowanie terenu konno i pieszo, ataki na jednostki i transporty niemieckie oraz bardzo dobra współpraca z sołtysami i miejscową ludnością – wszystko to stwarzało wrażenie kawałka wolnej Polski, w postaci małej „Rzeczypospolitej Chojnowskiej”. Przez kilkanaście dni we wsi Chojnów kwaterowały, powitane entuzjastycznie przez mieszkańców, oddziały powstańcze AK z Ochoty i Mokotowa. Po niepowodzeniach ataków na Służewcu, a szczególnie w rejonie silnie umocnionych Wyścigów Konnych i fortu Służew, oddziały te wycofały się w pierwszych dniach sierpnia z południa Warszawy. W dniu 16 sierpnia po nabraniu sił i reorganizacji opuściły rejon Chojnowa tocząc następne, krwawe walki z Niemcami na kierunku Las Kabacki-Wilanów-Sadyba.

Tymczasem walcząca w osamotnieniu Warszawa oczekiwała i wzywała pomocy. Oddziały leśne znajdujące się na jej obrzeżu szykowały się do przerwania niemieckiej obręczy, dławiącej miasto, a oddział „Lancy” przeprowadzał bardzo intensywne ćwiczenia i przygotowywał się do walki jeszcze bliżej Warszawy. Niemcy zdawali sobie sprawę ze znacznego potencjału polskich oddziałów i choć z dużym nadmiarem szacowali ich siły, podjęli decyzje w sprawie wyprzedzającego spacyfikowania zagrożających im rejonów. W dniu 23 sierpnia 1944 roku Niemcy dokonali pacyfikacji bazy w Lesie Kabackim, zaopatrywanej z Puszczy Kampinoskiej. Dwa dni później zrobili to samo w Lasach Chojnowskich.

Po kilku dniach nieobecności w czwartek 24 sierpnia przyszedł do domu tata. Rodzice rozmawiali długo i szeptem, a ja instynktownie wyczuwałem, że dzieją się jakieś ważne rzeczy. Późnym wieczorem tata mocno mnie uściśnął, wycalował i prosił, abym opiekował się mamą. Nie wiem, czy sam na to wpadłem, czy rodzice mi wprost o tym powiedzieli, ale zdałem sobie sprawę, że mój tata idzie walczyć z Niemcami o Polskę i o Warszawę. Dostał od „Lancy”, podobnie jak inni żołnierze z Chojnowa i okolicznych wiosek, kilkanaście godzin na pożegnanie z najbliższymi. Rankiem mieli dołączyć do swojego oddziału w Nowinkach.

W piątek 25 sierpnia nastąpiły dramatyczne wydarzenia. Jeszcze przed świtem obudziła nas kanonada broni automatycznej i wybuchy granatów. Wojna i okupacja nauczyły mnie rozpoznawać wojenne odgłosy. Prawie we śnie poczułem na policzku usta taty i zobaczyłem jego postać wybiegającą w półmroku z naszego domu. W drzwiach zarysowała się sylwetka mamy. Za kilka (może kilkanaście?) minut do naszych zabudowań dotarła gęsta tyraliera żołnierzy niemieckich w pełnych rynsztunkach bojowych. Wyglądali strasznie i złowrogo w stalowych hełmach oraz z przepasanymi na krzyż taśmami amunicyjnymi. Wielu z nich miało w rękach lekkie karabiny maszynowe z rozłożonymi podnózkami. Za pasami zatknięte po kilka granatów. Zawinięte rękawy w „panterkach”. Wrzaski w niemieckim szwargocie. Dzikie, bezlitosne twarze, często zakryte motocyklowymi okularami ochronnymi. Wywlekali wszystkich z domów nie dając czasu na zażalenie czegokolwiek. Niektóre osoby zapomniały nawet o okularach. Mama zdążyła wziąć torbę z dokumentami i drobiazgami. Z naszego „drewniaka” wyciągnęli oprócz nas pana Krzeckiego razem z ponad 80-letnią żoną w nocnej koszuli. Powstała z nas spora gromada, złożona głównie z ludzi w podeszłym wieku oraz kobiet i dzieci. Młodzi i w sile wieku mężczyźni byli wtedy w oddziałach leśnych lub na odgłos wystrzałów zdążyli uciec do lasu.

Niemcy odkryli szybko nasz rów przeciwlotniczy i ustawili nas przed nim w dwóch rzędach. Postawili też przed nami na ziemi dwa karabiny maszynowe z załadowanymi taśmami. Stałem prawie na środku trzymając się rąk mamy i Helenki. Płakało wiele kobiet i dzieci. Mama wspominała później, że zadałem jej pytanie: „Mamusiu, co z nami robią?”. A moja biedna, oszołomiona mama zapominając, kto i o co ją pyta, odpowiedziała bezradnie: „Chyba nas, synku, rozstrzelają”. Uratowało nas piekło, które rozpełtało się w pewnej odległości w kierunku Zalesia. Nagle błyski i huk wybuchów (chyba granatów?), jakaś bezładna strzelanina i serie z broni automatycznej. Dostrzegłem zdenerwowanie i lęk w zachowaniu Niemców. Kazali nam wszystkim położyć się twarzami do ziemi, pozostawili z nami dwóch czy trzech na straży, a wszyscy inni pobiegli, z przygotowaną do strzału bronią, w kierunku leśnej gęstwiny. Dowiedzieliśmy się później, że jakimś oddziałowi leśnemu udało się wtedy przebić przez pierścień okrążenia i stąd całe zamieszanie wśród Niemców, które być może uratowało nam życie. Jeszcze później dotarła wiadomość, że pacyfikację lasów chojnowskich dokonywali Niemcy siłami całej dywizji, używając do tego celu samolotów zwiadowczych, wojsk zmotoryzowanych, artylerii oraz pociągu pancernego z linii radomskiej. Ale wówczas nie wiedzieliśmy nic o tych sprawach, podobnie jak o losie taty.



Z mamą w Ogrodzie Saskim

Po kilku godzinach leżenia plackiem zostaliśmy uformowani w coś na kształt kolumny i popędzani wrzaskami niemieckich żołnierzy ruszyliśmy piaszczystym duktem leśnym w kierunku Piaseczna. Nasza kolumna wydłużała się i pęczniała. Co kilkaset metrów Niemcy dopędzali do niej kolejne grupy miejscowej ludności, wymieszanej z letnikami i uciekinierami z Warszawy. Przypomniał mi się teraz widok pana Krzeckiego, który z wysiłkiem pchał przez piach zdezelowany wózek dziecienny. Siedziała w nim

pani Krzecka, drobna, pomarszczona na twarzy staruszka i chyba nie zda-
wała sobie sprawy z tego, co się wokół niej i z nią dzieje. Co jakiś czas by-
liśmy spychani na pobocze przez mijające nas furmanki, wypełnione jaki-
miś rzeczami i powożone przez Niemców. Minęliśmy Stefanów i doszli-
śmy do Żabieńca. Okazało się, że na terenie miejscowego tartaku Niemcy
urządzili dla nas przejściowy obóz selekcyjny. Przebywało tu w niesamo-
witym ścisku już kilkaset osób, a co jakiś czas dopychano do nich następne
grupy ludzi zagarniętych w obławie. Przy bramie i dookoła tartaku były po-
sterunki żołnierzy niemieckich, a w budynku biura znajdowała się komenda
obozu. Ogólnie słychać było płacz dzieci, który przykrywał ściszone roz-
mowy i pytania na temat losu najbliższych. Nie pamiętam, czy coś jedliśmy
tego dnia, ale zapamiętałem uczucie głodu. Koczowaliśmy razem, to zna-
czy mama, Helenka i ja, wśród tłumu innych osób na podłodze w hali tar-
tacznej. W nocy mama dowiedziała się w ogromnym sekrecie od kogoś ze
znajomych, że Niemcy przywieźli późnym wieczorem do tartaku tatę i pię-
ciu młodych mężczyzn. Jak się później okazało tata i jego towarzysze mieli
odciętą przez Niemców drogę do swojego oddziału, a ponadto po otrzyma-
niu wiadomości o niemieckiej operacji oddział „Lancy” jeszcze w nocy
opuścił w trybie alarmowym gajówkę Nowinki. Następnie, współdziałając
z sąsiadującym w leśniczówce Żimne Doły silnym oddziałem Narodowych
Sił Zbrojnych, przebił się brawurowym natarciem przez pierścień obławy.
W tej sytuacji tata i jego towarzysze zakopali w lesie broń oraz pozostałe
insygnia przynależności do leśnego oddziału i postanowili udawać przed
Niemcami wystraszonych letników, których rodziny mogłyby w razie po-
trzeby potwierdzić ich tożsamość, jeśli w ogóle doszłoby do takiej identyfi-
kacji. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego mojego taty manewr
ten zakończył się na razie dowiezieniem całej grupki do obozu w Żabieńcu
i osadzeniem w odrębnie strzeżonym pomieszczeniu. Cud, że nie zostali na
miejscu zastrzeleni. Zaczęły teraz biec dni w obozie w Żabieńcu, a moja
mama skoncentrowała całą energię na dwóch sprawach: zdobyciu żywności
i uwolnieniu taty. Swoje działania rozpoczęła od rozpoznania sytuacji
i wielogodzinnych prób rozmowy z niemieckimi wartownikami przy bra-
mie (jeszcze z gimnazjum znała bardzo dobrze język niemiecki). Wreszcie
jeden z Niemców pozwolił mamie udać się do wsi po żywność. Do pęku
różnych dokumentów dołączył jako zastaw kenkartę mamy, a wkładając ją
w porządku alfabetycznym, machnął z triumfem przetrzymywaną kenkartą
taty. Mama wróciła z Żabieńca, taszcząc dwie torby ugotowanych nówek
świńskich i bańkę mleka, które dostała, od nieznanej jej przedtem rodziny
Świetlików. Długie rozmowy z Niemcami i przekonywanie ich, że tata był

wraz z nami na lotnisku zakończyły się sukcesem mamy. Pamiętam, że kilka razy byłem przyprowadzany do wartowników i służyłem jako rodzinny dowód. Wieczorem, dołączył do nas tata, a zatrzymani z nim młodzi mężczyźni pojawili się również na placu tartacznym. Rozpłakaliśmy się ze szczęścia. Nie jestem w stanie określić, ile dni byliśmy w tym obozie. Czas zacierą wiele szczegółów, nawet najbardziej dramatycznych przeżyć, zwłaszcza w dziecięcym wieku. Wiem, że przez wykonaną i zamaskowaną dziurę w drewnianym ogrodzeniu tartaku wydostało się i uciekło kilkunastu młodych ludzi. Wśród nich była nasza Helenka, która pomimo sprzeciwu mamy zamierzała wrócić, na własne ryzyko, do Chojnowa i ocalić coś z naszego skromnego, wakacyjnego dobytku. W obozie któregoś dnia zaczęła narastać atmosfera czegoś niedobrego. Liczba Niemców znacznie się powiększyła. Pojawili się nowi oficerowie i służba sanitarna. Potem ustawiono wszystkich w kolumnę i zaczęła się selekcja. Trzymaliśmy się razem, a rodzice starali się zrozumieć, jakie są jej zasady. Selekcji dokonywali oficerowie niemieccy z *wehrmachtu*, ale zauważyłem też kilka czarnych mundurów SS. I jak zwykle w najtrudniejszych momentach życia mama znajduje deskę ratunku. Zauważa, że w zachowanym zaświadczeniu z lipcowego pobytu w Szpitalu Ujazdowskim, potwierdzonym obowiązującą pieczęcią z niemiecką „wroną”, widnieje tylko jej nazwisko, a nie ma imienia Stanisławy. Dostrzega też w niemieckiej komisji selekcyjnej znajomego doktora z Piaseczna, który wcześniej udzielił jej pomocy i wymienia z nim znaczące spojrzenia. W momencie selekcji tata pokazuje dokument szpitalny oficerowi niemieckiemu, a nasz, polski lekarz potwierdza ciężką chorobę taty i pobyt w szpitalu. Jednak to nie koniec, bo wpychają nas do tzw. bydłowego wagonu kolejowego. Na szczęście razem, dzięki fortelowi mamy, bo wiele rodzin zostało już wtedy rozdzielonych. W niewielkim wagonie towarowym kolejki wąskotorowej zapanował nieprawdopodobny ścisk. Jeśli dobrze pamiętam to liczba upchanych w nim osób mogła dojść do pięćdziesięciu. Niemcy zaryglowali za nami drzwi i jedynym kontaktem ze światem było małe, zakratowane okienko, do którego zdołała przedostać się mama. I kolejny już raz mama przejmuje inicjatywę. Dostrzega w otworze niemieckiego podoficera i przez kratę częstuje go papierosem w srebrnej, damskiej papierośnicy, zachowanej w torebce. Niemiec wyjmuje całą papierośnicę z ręki mamy, zapala powoli papierosa, patrzy mamie w oczy i następuje pamiętny dialog w języku niemieckim: *Das ist Gold? Ja! Wieviel Personen? Fünf. Gut! Ein Moment!* Wachman był przekonany, że jest to złota papierośnica, a mama błyskotliwie dodała do naszej trójki parę przyjaciół, pp. Filipowskich z Warszawy. Dalsze wypadki potoczyły się

bardzo prędko. Niemcy odryglowali drzwi i wachman pomógł(!) mamie wyjść z wagonu. Potem wyszedłem ja, wyszedł tata i wyszli państwo Filipowscy, a Niemiec liczył: *Eins! Zwei! Drei! Vier!* i wskazując paluchem na mamę zakończył: *Fünf!* Potem razem z jakimś drugim żołnierzem doprowadzili naszą piątkę wzdłuż toru kolejowego do drogi we wsi Żabieniec i wrzasnęli: *Lauchen! Aber schnell!* Rozpoczęliśmy bieg życia nie oglądając się za siebie i zatrzymaliśmy się dopiero za wsią w zabudowaniach dworskich. Obecnie na tym terenie znajduje się jeden z zakładów Instytutu Rybactwa Śródlądowego. Nie do wiary, że mojej, osłabionej chorobą mamie udały się wszystkie akcje! Byliśmy wolni!

Jakiś czas koczowaliśmy w czworakach dworskich w Żabieńcu. Znalazło się tam wraz z nami jeszcze wiele innych osób, które niemiecka pacyfikacja pozbawiła miejsc zamieszkania. Pamiętam, że było tam dość wesoło. Dzieci odkrywały nowe miejsca zabaw, a dorośli odreagowywali ostatnie przeżycia. Wymieniano części garderoby i produkty spożywcze. Częstoowano się wzajemnie alkoholem. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego nie wróciliśmy do Chojnowa? Zdecydowała o tym najpewniej perspektywa zimowania w tamtym, letniskowym drewniaku z szerokimi na palec szparami pomiędzy deskami. Tata znalazł tuż przy lesie w Żabieńcu małą, murowaną chałupkę, która w uzgodnieniu z jej dysponentem, panem leśniczym, stała się naszym domem. Nie wiadomo było na jak długo. Potem dowiedzieliśmy się, że z zemsty za pomoc udzieloną leśnym oddziałom Niemcy zamordowali w Chojnowie wielu mieszkańców tej wsi. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie opowieść o obronie własnego gospodarstwa przez pięciu braci Czapskich. Spotykaliśmy ich przedtem bardzo często, gdyż trasa naszych wędrówek do stacyjki kolejowej przebiegała blisko ich gospodarstwa. W pałacej się stodole mieli podobno magazyn broni i wybiegając z płomieni zginęli od kul niemieckich. Stało się dla nas jasne, że odgłosy tej ich walki zbudziły nas przed świtem 25 sierpnia i niewątpliwie uratowały życie mojego taty, a być może mamy, Helenki i moje.

Toczyły się gorące dni wrześniowe. Dzięki aktywności Helenki udało się uratować z Chojnowa trochę wakacyjnego wyposażenia. Szczególnie istotne znaczenie miała dla nas pościel i garnki. Mama była bardzo słaba po wyczerpujących przeżyciach, jednak wspólnie z Helenką urządziły szybko mały, warzywny ogródek. Miejscowi gospodarze, zwłaszcza z rodu Świetlików, zaludniającego chyba połowę Żabieńca, byli dla nas bardzo serdeczni i współczujący. Starali się też okazywać nam różnego rodzaju pomoc, np. przy uszczelnieniu dachu, montażu piorunochronu lub dając, po

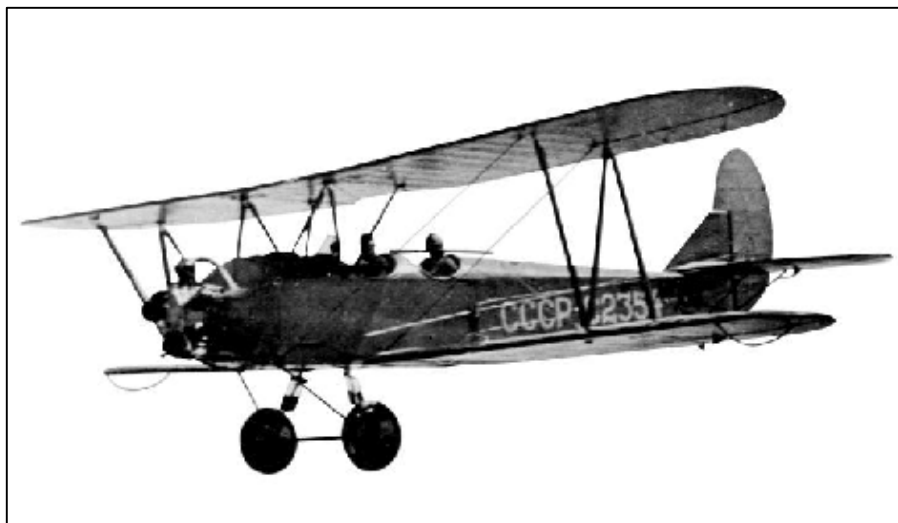
prostu, jakąś żywność. Ogólnie biorąc, było nam jednak bardzo ciężko i tylko perspektywa bliskiego końca wojny dodawała nam otuchy. Z tego czasu zapamiętałem kanapkę w postaci kromki czarnego chleba, zwilżonego wodą i posypanego drobkami cukru, a dodatkowy kleks śmietany był rzadkim luksusem. Nasza sytuacja aprowizacyjna trochę się poprawiła na skutek zwykłego przypadku. Otóż pewnego dnia wpadła do rowu i wyróciła się niemiecka ciężarówka z produktami spożywczymi. Kilka osób udawało pomoc i zgarniało przy okazji za pazuchy wszystko, co się dało. Chwyciłem za pałąk pięciokilogramowe, mosiężne wiaderko, jak się później okazało ze sztucznym miodem oraz wielką kostkę margaryny i uciekłem przez las do domu. Dostałem wielką burę od mamy, ale słodziliśmy przez długi czas tym *ersatz* produktem rumiankową i lipową herbatkę.

W Warszawie trwało powstanie, jednak dochodzące do nas wiadomości były bardzo skąpe i niepewne. W naszym rejonie stacjonowali Niemcy, którzy w okolicznych lasach oraz na porębach i polanach przeprowadzali intensywne ćwiczenia bojowe. W związku z tym okoliczne tereny były pełne różnego typu "akcesoriów" militarnych. Jeszcze obecnie, mógłbym z łatwością wymienić bardzo długą listę tych wyrobów, jak: tarcze strzelnicze (półsylwetki w hełmach i bez), pociski z lotkami do granatników, rakiety oraz rakiety sygnalizacyjne (światłne, dymne i „gwizdzące”), pałkowe granaty ręczne (bojowe i ćwiczebne z dziurkowanymi głowicami), stalowe szczypce do cięcia drutu kolczastego, amunicję różnego typu, rozmaity proch strzelniczy np. w kształcie błyszczących, przedziurkowanych monet lub giętkich prętów (łatwych do przełamania), elektryczne i ogniowe lonty, mosiężne łuski od pocisków różnego kalibru, a nawet przeciwczołgowe miny talerzowe. Niektóre znaleziska przynosiłem do domu i chowałem pod deskami werandy. Pozostały tam do czasu, gdy tata z przerażeniem odkrył mój arsenał i zakopał go w lesie pod osłoną nocy. Od tego dnia mama, na zmianę z tatą, przypominała mi kilka razy dziennie o niebezpiecznych skutkach zabawy z niewybuchami i wojskowymi „rzeczami”. Tym bardziej, że zaczęły dochodzić do nas wieści o tragicznych wypadkach z udziałem dzieci w wyniku takich zabaw w naszej okolicy.

Skończył się wrzesień i kilka dni później upadło powstanie w Warszawie. Wiedzieliśmy już, że w czasie jego trwania armia czerwona stanęła po drugiej stronie Wisły i nie udzieliła nam żadnej pomocy. Zdawaliśmy też sobie sprawę, że wojska sowieckie wyprą niedługo Niemców z tych terenów i z całej Polski. A więc, że jeszcze raz przetoczy się przez nas wojenny front ze wszystkimi, groźnymi skutkami. Coraz bardziej też zaczynaliśmy obawiać się wejścia i zachowania Sowietów.

W tym miejscu opis moich przeżyć spotkał się ze wspomnieniami Jarosława Marka Rymkiewicza w *Plusie Minusie*, ponieważ mógłbym również poinformować, że „*Wczesną jesienią, kiedy kończyło się powstanie, mieszkaliśmy w Piasecznie*”. Dla ścisłości topograficznej należałoby tylko w moim przypadku, zamienić określenie „w Piasecznie” na „w pobliżu Piaseczna”. Dalej nasze wspomnienia są bardzo podobne. Wystarczy wymienić tu kilka zbieżnych punktów: ▪ bliskie sąsiedztwo i przeprowadzka: JMR z Piaseczna do Gołkowa (pierwsza stacja kolejki w stronę Grójca) – my z Chojnowa do Żabiańca (pierwsza stacja kolejki przed Piasecznem od strony Góry Kalwarii), ▪ niemieckie polowania w Piasecznie i okolicach na mężczyzn pochodzących z Warszawy, a wśród nich na naszych ojców, ▪ piesze wędrowki z mniej niż skromnym dobytkiem, ▪ szukanie zarobku w handlu (m.in. materiałami piśmiennymi), ▪ loty sowieckich myśliwców nad naszymi głowami, ▪ codzienna, rodzinna walka o przeżycie i do tego niemal identyczny wiek JMR i mój. Byłem, bowiem tylko o kilka miesięcy młodszy. I wreszcie *clou* moich wspomnień...

Nie potrafię ustalić, którego dokładnie dnia nastąpiło to wydarzenie i czy jeszcze we wrześniu, czy już w październiku. Pamiętam, że było niedługo po południu, słonecznie i ciepło. Tak, jak wspominał pan Jarosław. Wracałem do domu po lekcjach, prowadzonych potajemnie przez miejscową, przedwojenną nauczycielkę, dla kilkanaściorga dzieci z Żabiańca i okolicy. Szliśmy w trójkę, lub czwórkę miedzą wzdłuż świeżo zaoranego pola, gdy zza lasu nadleciał w naszym kierunku sowiecki, dwupłatowy samolot. Zniżył lot tak, że dostrzeżliśmy czerwone gwiazdy na skrzydłach i kadłubie oraz sylwetki dwóch lotników. Nie mogę sobie przypomnieć, czy zafascynowani latającą nad nami maszyną, machaliśmy do nich przyjaźnie rękami. Chyba tak. Nagle usłyszeliśmy terkot karabinu maszynowego i ujrzeliśmy ogniki ognia. Nie do wiary, ale strzelali do nas! Wrzasnąłem: „Uciekajmy” i rozbiegliśmy się jak zające przez bruzdy. Z samolotu padły jeszcze kolejne strzały, coś uderzało bardzo blisko w ziemię, ale na szczęście pociski nikogo nie trafiły. Samolot zatoczył koło i odleciał, a my przez pewien czas nie mogliśmy ochłonąć z przerażenia i uświadomić sobie, że byliśmy celem sowieckiego polowania. Po prostu nie mogliśmy uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Z ziemi podniosłem kilka, jeszcze ciepłych, lśniących, mosiężnych łusek z wystrzelonych pocisków, przy czym dwie z nich były połączone oksydowanym, metalowym łącznikiem (fragmentem taśmy?). Obecnie nie mam żadnych wątpliwości, że sowieckie kanale dobrze wiedziały z tej wysokości, że strzelają do dzieci i że



Kukuźnik (Polikarpow-2) w locie

staraly się w nas trafić. W przeciwieństwie do JMR nie mogłem wtedy zrozumieć i wytłumaczyć tego, co zaszło. Podobnie jak w przypadku niezbyt odległych przeżyć chojnowskich, dziwiłem się, że są dorośli, którzy chcą bez powodu zabijać dzieci. Nawet, jeśli wmówiono im, że po tej stronie Wisły są tylko Niemcy. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem mogę stwierdzić, że był to ten sam sowiecki samolot, zwany kukuźnikiem, którego załoga starała się „upolować” młodego Jarka Rymkiewicza i jego tatę, kiedy szli wzdłuż torów kolejki do Piaseczna. Wskazują na to fakty i podobieństwo, zapamiętanych przez nas, okoliczności tego wydarzenia. Trudno też przypuszczać, aby załogi wszystkich, sowieckich samolotów miały rozkaz strzelania do dzieci lub przyjemność z takiej zabawy. Wydaje mi się, że ze względu na swój wyjątkowy charakter, polowanie nad Żabieńcem na polskie dzieci powinno być zapisane na kartach historii sowieckiej awiacji, nawet uwzględniając, że strzelec pokładowy nie osiągnął, na nasze szczęście, sukcesu. A kończąc ten fragment wojennej opowieści nie odczuwam satysfakcji, że po wielu latach nasze wspomnienia mogą stanowić drobny przyczynek do uzupełnienia tych kart. Natomiast powinienem w tym miejscu poinformować, że po moim wujku Wacławie Grabowskim, wywiezionym przez NKWD z Brześcia nad Bugiem we wrześniu 1939 roku, zaginął wszelki ślad. Pozostawił żonę Sabinę. Powojenne poszukiwania m.in. poprzez Polski Czerwony Krzyż nie dały wyników. Być może ktoś spośród



Wujek Wacław Grabowski (brat mamy) wywieziony przez NKWD z Brzeźcia nad Bugiem w 1939 r.

piśmiennych i biurowych, znanej mu dobrze z czasów przedwojennych, kiedy to współpracował z renomowanymi firmami „Nasz Sklep Urania” oraz Fabryką „ISKRA” inż. Karmańskiego. Poza tym cały czas starał się ukrywać przed Niemcami, poszukującymi w okolicach Piaseczna mężczyzn z Warszawy. Wreszcie nadeszło smutne Boże Narodzenie i niedługo później rozpoczął się rok 1945.

Pewnego styczniowego wieczoru rozpętało się wokół nas piekło. Nieustanna kanonada artyleryjska, smugi świetlnych paciorków na niebie, gwiazd pocisków i potężne wybuchy, różnokolorowe rakiety i majestatycznie opadające flary świetlne. Taty z nami nie było, a my w trójkę siedzieliśmy skuleni na podłodze. Mama usiłowała wpakować mnie do małej piwniczki. Walenie do drzwi. Mama otworzyła je z łękiem. Do naszej izdebki wpadł uzbrojony po zęby oficer SS w czarnym mundurze i łamaną polszczyzną, w ogromnym pośpiechu, domagał się cywilnego, męskiego ubrania. Po wyjaśnieniu mamy, że nie ma tu mężczyzn, a jest tylko chłopiec, esesman wybiegł z domu i zniknął w ciemnościach. Dosłownie, za kilka-

czytelników tych wspomnień zachował w pamięci choćby najdrobniejszy okruszek z losów mojego wujka. Również rodzina mojej żony Krystyny z Boczkwskich doświadczyła na Wołyniu (Tuczyn, Leonówka i Budki Kudrańskie) i Ziemi Grodzieńskiej (Budowla i Lerypol) aktów zabójstw, okrucieństwa i niezliczonych cierpień po zajęciu tych polskich ziem przez armię czerwoną.

Minęło lato. Potem przyszły jesienne słoty i dni stawały się coraz krótsze. Sowiecki front zatrzymał się nad Wisłą i stał jak zamurowany. Tata zniknął na całe dni i nie wiedziałem, gdzie przebywał i czym się dokładnie zajmował. Teraz myślę, że profitowało mu ukończenie kursów handlowych, bowiem często wracał z jakimiś pakunkami. Być może obracał się m.in. w branży materiałów

dziesiąt sekund wpadło do nas dwóch sowieckich żołnierzy z gotowymi do strzału pepeszami. Sześćdziesięciolatek i nastolatek. Natychmiast przypomniał mi się ostrzał z kukuruźnika i doskonale ich zapamiętałem. Zapytali o wódkę, ale pogonili za Niemcem. Słyszeliśmy serie ich automatów. Potem wrócili, położyli na kolanach pepesze i łączywie wypili po kilka kubków lipowej herbaty. Niedługo później usłyszeliśmy narastający w ciemnościach huk silników i charakterystyczny chrzęst gaśienic. Na pobliskiej, dobrze mi znanej, porębie zatrzymało się kilkanaście sowieckich czołgów. Pracowały ich motory i świeciły się reflektory. Dołączyliśmy całą trójką do licznych mieszkańców Żabiańca, którzy starali się nawiązywać rozmowy z czołgistami. Jeden z nich na wiadomość, że jesteśmy z Warszawy, zaproponował mamie i mnie miejsce w swoim czołgu. „Za godzinę będziemy w Warszawie” – zachęcał mamę. Były to jednostki pancerne wraz ze zwiadowcami, które przełamały front pod Magnuszewem, niedaleko Góry Kalwarii i gnały, już po tej stronie Wisły, w kierunku Warszawy. Tymczasem w domu sołtysa zorganizowano naprędce poczęstunek dla wyższych oficerów sowieckich. Weszliśmy tam z ciekawości. Przez kłęby machorkowego dymu zobaczyłem na stole pęta, dawno niewidzianej kielbasy, słoje z ogórkami, bochenki chleba i butelki z bimbrem. Toczyły się głośne rozmowy w mieszanym, polsko - rosyjskim języku. Nie mogę sobie przypomnieć, czy już wtedy zobaczyłem po raz pierwszy polskich żołnierzy ze wschodu z dziwnymi, podobnymi do kury, orłami bez korony na czapkach. Obejrzelśmy pokaz wkładania, zwiniętej w spiralę, taśmy z nabojami do okrągłego magazynka pepeszy oraz kilka nowych banknotów złotych, tzw. lubelskich i wróciliśmy do naszej chatki. Tak wyglądał pierwszy kontakt z nową rzeczywistością i nikt nie wiedział, co może ona nam przynieść. Niedługo potem wrócił tata i skombinował gdzieś, jakieś zaświadczenie, które miało mu ułatwić wjazd do Warszawy. W białym fartuchu sanitariusza (!) i z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie dotarł do naszego mieszkania na Siennej. Zastał je całkowicie zdewastowane, splądrowane i okradzione. M.in. zniknął obraz Chełmońskiego „Przed karczmą”, wycięty wprost z ramy. W grubej ścianie kuchennej klatki schodowej niemieckie pociski wybiły ogromne dziury i zniszczyły drewniane schody, a bomba uszkodziła część dachu i poddasza, ale solidny dom stał. Podczas powstania mieściło się tu dowództwo silnego zgrupowania AK „Chrobry II”. Tata zabezpieczył, więc, co tylko i jak tylko mógł i po kilku dniach wrócił do Żabiańca. Rodzice postanowili, że pozostaną z mamą na wsi do lata i będą się nadal uczył w wiejskiej szkółce. Mama nabierać będzie sił po przeżyciach wojennych, a tata będzie opiekować się naszym mieszkaniem w



*Mama przed domkiem w Żabieńcu, w którym prze-
trwaliśmy zimę 1944/1945*

Warszawie i poszuki-
wać, możliwych w tych
warunkach, sposobów
zarobkowania. Helenka
chciała odszukać swoją
siostrę Jasię z rodziną w
Warszawie i obiecała
powrócić do nas na je-
sieni. Dowiedzieliśmy
się też nieco o losach
ludzi z przejściowego
obozu w Żabieńcu zała-
dowanych przez Nie-
mców do wagonów to-
warowych. Otóż osoby,
które zostały zakwalifi-
kowane, jako nieprzy-

datne do pracy (starcy i chorzy) zostały wywiezione w rejony Krakowa i Częstochowy, a pozostałe, często wraz z dziećmi – do różnych obozów i robót w Niemczech. Wiem, że wiele z nich stamtąd nie wróciło.

W którymś z letnich miesięcy tata zawiózł mnie do Warszawy. Zapamiętałem wązozy wśród wypalonych kamienic, ścieżki wydeptane poprzez pagórki gruzów, nierozebrałe jeszcze barykady, tysiące drewnianych krzyży na mogiłach oraz ekshumacje poległych powstańców i mieszkańców Warszawy. Wszystkie pionowe płaszczyzny w zasięgu wzroku były oklejone dramatycznymi listami osób poszukujących swoich bliskich. Z takimi obrazami zapisanymi w pamięci kończył się okres mojego dzieciństwa, połamanego przez Niemców. Miałem ponad dziewięć lat i wydawało mi się, że jestem już prawie dorosły. W swojej książce pt. *Kinderszenen* Jarosław Marek Rymkiewicz, z którym w okolicach Piaseczna skrzyżowały się moje losy, pisze: „*Krwawa dziura – to było właśnie moje dzieciństwo. Nie mogę powiedzieć, że mam jakieś wielkie pretensje do Niemców, że czegoś od nich oczekuję czy czegoś żądam. Chciałbym tylko żeby wiedzieli, co mi zrobili – zniszczyli moje dzieciństwo i zrujnowali moją ośmioletnią wyobraźnię. Została kupa gruzów...*”. W znacznej mierze podzielałam odczucia poety, choć moja ocena jest, być może, nieco bardziej prozaiczna i obejmując ją także najeźdźców ze wschodu. Podobnie jak Niemcy, zniszczyli oni najpiękniejsze lata naszym rodzinom i pokrzywili dzieciństwo nam oraz wielu naszym

rówieśnikom. Miało to miejsce nie tylko na Kresach Rzeczypospolitej i nie tylko w czasie działań wojennych. Ślady wojny i okupacji Polski pozostaną w naszej pamięci na zawsze i powinny, bez wątplenia, racjonalnie kształtować przyszłość i tożsamość następnych pokoleń Polaków.

W reaktywowanej w prowizorycznych warunkach, renomowanej i wielce zasłużonej szkole fundacji Wojciecha Górskiego i jego małżonki, trwały egzaminy sprawdzające wiedzę kandydatów po przejściach wojennych i kwalifikujące na tej podstawie do odpowiedniej klasy. Zostałem przyjęty do klasy piątej. W ten sposób otworzyła się przede mną droga do kontynuowania rodzinnej, męskiej tradycji uczenia się w tej właśnie szkole. Wychowankami Gimnazjum Górskiego byli, bowiem mój tata, mój stryj i dwaj wujowie. Z pewnością pomogły w tym wysiłki edukacyjno-pedagogiczne moich rodziców, tajne komplety



*Jestem uczniem Szkoły Górskiego
(gdzieś w śródmieściu Warszawy, jesień 1945)*

u pani Foltańskiej i lekcje w szkółce wiejskiej w Żabieńcu, a także lektura książek z naszej domowej biblioteki. Wśród nich takich, jak: „*Na RWD-5 przez Atlantykę*” Skarżyńskiego, „*Mały Piłsudczyk*” Nittmana, „*Księga ku czci poległych lotników*”, „*Polacy na Dżembori*”, „*Skauting dla chłopców*” Lorda Baden-Powella, „*Szwedzi w Warszawie*” Przyborowskiego oraz konspiracyjnych wydań (bez nazwisk autorów i bohaterów) „*Dywizjonu 303*” Fiedlera i „*Kamieni na szaniec*” Kamińskiego. Ale lata w Szkole Górskiego oraz często ponure przeżycia w zniewolonej przez Sowieców Polsce to już inne, następne odcinki taśmy filmowej z mojej pamięci.

(w czerwcu i grudniu 2008 roku)